

Pacjent Pana Boga

Autor: Mirosław Kulec



Czy można napisać coś ciekawego i inspirującego po wyjściu ze szpitala? Tak. Odpowiedź na to pytanie jest tym bardziej oczywista, im dłużej znamy Pana. Chciałbym opowiedzieć Wam o wielkiej biblijnej lekcji pokory i ufności, jaką otrzymałem w Bożej szkole życia. Niedawno miałem naprawdę trudny, choć patrząc na całość, błogosławiony czas choroby i próby swojej wiary. Zachorowałem na zapalenie opon mózgowych. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak wyniszczająca i niebezpieczna jest ta choroba. Nie potrafiłem powiedzieć kierowcy ambulansu, jak się nazywam, gdzie mieszkam, jak ma na imię moja żona, pomimo że byłem całkowicie świadomy.

Wiedziałem to, ale nie wiedziałem, dlaczego nie mogę tego znaleźć w mojej głowie. Lekarz powiedział mojej żonie, że gdyby nie wezwała ambulansu, a ja pozostałbym w łóżku, to rano by mnie już nie obudzili, ponieważ zostało mi kilkanaście godzin życia. Straszne doświadczenie. Potem bolesne badania - punkcja kręgosłupa. Wreszcie umieszczono mnie na oddziale zakaźnym szpitala w Chełmie. Tam zaczął się cud - już na drugi dzień choroba zaczęła się cofać. Pielęgniarka z trzydziestoletnim stażem powiedziała, że jestem wyjątkiem. Mówiła mi o ludziach, którzy po tej chorobie uczyli się na nowo chodzić, dochodzili do siebie bardzo długo. Gdy po 3 dniach od ataku choroby przyłapano mnie na nauce hebrajskiego, znów usłyszałem, że to niesamowite! Pani doktor ze zdziwieniem stwierdziła, że w tym okresie choroby ludzie dopiero dochodzą do siebie, przypominają sobie, co i jak, ale nikt nie uczy się języków obcych!!

Dwa tygodnie później byłem już w domu. Wirus został pokonany, lecz niebezpieczeństwo nie minęło a zaczęły się komplikacje. W ciągu tygodnia moje zdrowie zaczęło się rozlatywać. Okazało się, że powikłania pochorobowe są gorsze niż sama choroba, która choć była groźna, nie sprawiała mi tyle bólu i kłopotów. Mój układ nerwowy dosłownie oszalał, brałem po 18 tabletek, a mój przyjaciel, który jest lekarzem, przepisywał wciąż kolejne leki. Noce były męczarnią. Czułem, że tylko w połowie moja choroba jest fizyczna, wyniszczał mnie strach i depresja. Bez wsparcia mojej kochanej żony Gosi i zborowników z pewnością bym się poddał, byli dla mnie darem Bożym na trudny czas. Leżąc w łóżku, zrozpaczony, wystraszony i jakoś tak zawiedziony życiem, zacząłem modlić się psalmem: „Z głębokości, wołam do Ciebie Panie, proszę wysłuchaj głosu mego... O Panie jeszcze nigdy nie byłem w takiej głębokości!! Gdybyś pamiętał moje grzechy, nie ostoję się przed Tobą, lecz wiem, że Ty masz przebaczenie...Panie, przyjdź i uczyni cud!!” Odpowiadała mi tylko cisza mojego pokoju. Przypominał mi się jakiś odległy płacz ze szpitala, jakby ktoś szeptał mi, że tam jeszcze wrócę. Na dodatek wciąż towarzyszyło mi odczucie, że chyba z rozpaczy stracę rozum. W wyobraźni widziałem, jak moje dzieci i żona cierpią niedostatek, a ja, schorowany i zniszczony, nic nie mogę już zrobić. Wtedy, nagle i jakby z góry, przyszła pieśń. Najpierw zaczęła grać w moim sercu. Modliłem się na językach, potem zacząłem śpiewać: „Tyś jest garncarzem, jam gliną jest, skrusz mnie ukształtuj, o to modłę się...” Z bólem, ale i z wiarą, powiedziałem Panu: „Panie, cokolwiek jeszcze się stanie, przyjmuję to. Nie zbłuźnię Twojemu imieniu, nie powiem, że mi się nie należało, nie będę miał żalu, kocham Cię.” W moje serce przyszedł pokój. Jednak na drugi dzień kryzys się pogłębił, czułem się jeszcze gorzej. Wtedy pomyślałem o czymś, co jakby umknęło mojej uwadze: „Chory ktoś między wami....niech wezwie starszych...”.

Tak Słowo Boże zachęca do modlitwy. No właśnie! Dlaczego tego nie zrobiłem? W jakiś sposób zapomniałem, że to mogę zrobić. Zawsze jednym z tych starszych, wzywanych do chorych, byłem ja, a dziś ja ich potrzebuję. Z rozmyślań wyrwał mnie telefon. Dzwonił mój przyjaciel dr Sławomir Witkowski, który był dla mnie wielkim wsparciem w chorobie, okazując troskę i przyjaźń. W czasie naszej rozmowy zadał mi pytanie, dlaczego nie wezwę starszych zboru? Wiedziałem już, to nie mógł być przypadek! Gdy zakończyliśmy rozmowę, zadzwonił kolejny brat, pytając mnie o to samo. Wiedziałem, że muszę być posłuszny Słowu. Powiedziałem do siebie w duchu, że cokolwiek się stanie, czy Pan mnie uzdrowi, czy nie, mam być posłuszny temu, co mówi Biblia. Chwilę potem byłem już umówiony na modlitewne odwiedziny.

Bardzo kocham i szanuję braci z naszej rady zboru, są mi wsparciem i pomocą od 11 lat. Tamtego dnia przyszli i otoczyli mnie swoją modlitwą. Nigdy nie zapomnę, jak brat Kazimierz wylał na swoje dłonie olej i położył je na mnie. Wiedziałem wtedy, że wygraliśmy, prowadzeni Bożą łaską i błogosławieństwem odnieśliśmy zwycięstwo nad czarną rozpaczą i chorobą. Tamtego dnia siedzieliśmy razem do późnej nocy, radość powróciła do mego życia i znowu nie musiałem wierzyć, ja po prostu wiedziałem, że Pan jest blisko. Dwa dni później zacząłem jeździć samochodem i przestałem zażywać lekarstwa. Wreszcie przyszedł dzień, gdy jechałem na nabożeństwo do zboru. Czułem się jak żołnierz wracający po długiej i okrutnej wojnie do spokojnego domu. Z całego serca wielbiłem Pana, pieśń na jego cześć brzmiała wewnątrz mnie: „Zaufałem, o Panie!! Zaufała moja dusza i w Słowach Twych położyłem całą moją wiarę. Dziękuję Ci, że nie zawiodłem się!! Chwała Ci i cześć!!”. Wzruszony stanąłem za kazalnica. Wtedy stało się coś, czego nigdy nie zapomnę, mój zbór zaczął klaskać. Nigdy wcześniej tak nie było, nie mamy takiego zwyczaju, to nie był jakiś gest z przyzwyczajenia, te oklaski były inne. Stałem, a moje serce chwaliło Pana ze wszystkich sił: „Dziękuję Ci Ojcze, że znowu tu stoję”. Jakże wielki to przywilej - mieć taki zbór, takich ludzi, takiego Boga. Po ponad dwóch miesiącach otworzyłem usta, by dzielić się Słowem Bożym, moje oczy chłoneły widok ukochanych twarzy słuchających mnie ludzi, z głębi serca i z przekonaniem głosiłem z Psalmów.

Znowu powraca do mnie pytanie, czy musiałem to przejść, czy było mi to potrzebne? Wielu ludzi mnie o to pyta. Tak, odpowiadam pewnie i wyjaśniam, że Jezus jest Panem i dlatego niech robi co, chce, niech uczy i prowadzi. Kocham Go i jestem Mu wdzięczny, bo tysiące razy okazał mi w życiu łaskę i cierpliwość. Uważam, że w ramach szkoły biblijnej każdy pastor raz, chociaż raz, powinien być hospitalizowany i to na poważnie. Moja choroba była wielką lekcją, która dała zborowi lepszego pastora, bo złamała moje egoistyczne serce. Dotąd nie leżałem w szpitalu, teraz jednak wiem coś, czego wcześniej, bez łaskawej Bożej lekcji, nie zrozumiałbym do końca życia. Kiedyś, gdy ktoś zachorował, jechałem do szpitala lub posyłałem II pastora, dawałem czekoladkę, modliłem się krótko i uważałem, że spełniłem swój pastorski obowiązek. Dziś widzę to inaczej. Doświadczyłem samotności, nocy, w których wszystko wygląda inaczej, rozpacz, trosk o rodzinę, strachu. Teraz będę odwiedzał moich ludzi w szpitalu inaczej, będę otaczał ich kompleksową ochroną, opieką i dyżurami rady zboru, jeśli zajdzie taka konieczność. Znowu Bóg nauczył mnie czegoś o Kościele i rodzinie. Chwała Bogu za Jego mądrość i prowadzenie.